



To niezwykle.

To był opowiadacz, bajarz. Pamiętam, był wtedy czas zbierania tytoniu na polach. Te ogromne pola tytoniu, a na polach od razu suszarnie. Przed suszarniami na ziemi siedziały kobiety z wyciągniętymi przed siebie nogami. Ich sylwetki przypominały literę L. Wszystkie były bose. Trzymały końce kilkunastometrowych drutów i na nie nakłuwały ogromne tytoniowe liście, a potem wieszały je warstwami w suszarniach jak girlandy. Takie sceny widzieliśmy po raz pierwszy! Poszliśmy polami wśród tych zieloniutkich wielkich liści do jakiegoś źródła, do wypatrzonej z dala staruszki. „Wiem, kogo szukacie, tutaj mieszka Gilas. Ale to jest bajac, teraz tam nie idźcie. Do niego idźcie rano. Możecie u mnie przespać”. I tak się stało. Ugościła nas, zeszła się rodzina, bo goście przyszli, i nawet jakieś śpiewy pamiętam. Rano poszliśmy do Gilasa. Dom bierwionowy, ciemny, zanurzony w zieleni. Odkrywasz go, otwierasz drzwi, a tam absolutny półmrok, wewnątrz wytapetowane pozwijanym papierem pakowym. I gdzieś na łóżku w ciemnym kącie leży człowiek.

Demoniczny czy alkoholiczny?

Tego nie wiedziałem. Wszedłem i zobaczyłem twarz jakby woskową. Nawet się nie poruszył. Powiedziałem: „Dzień dobry!” – zero reakcji. „Panie Marcinie! Dzień dobry” – nadal nic. Żyje czy nie? Cisza w tej izdebce. I nagle on jedno oko otwiera i mówi: „Skąd przybywasz?”. Odpowiadam, a on pyta dalej: „Kim jesteś?”. I dalej: „Magnus Albertus czytałeś?”.

O! Pytanie niebanalne.

Pomyślałem tak jak ty i powiedziałem, że nie.... Buch! Oko zamknięte. I znowu się nie rusza. Nie wiem, czy mam wyjść, czy zostać. Znowu próbuje: „Panie Marcinie! Ja o muzyce chciałem porozmawiać. O graniu, o skrzypcach”. „Miałem stradivariusa” – pada odpowiedź. No i taka dalej rozmowa. Ciągnie się i ciągnie opowieść. Klasycznie pojawia się w tej opowieści diabeł, czyli Niemiec (*śmiech*), i muzyka, która ocala życie, bo diabeł jest na nią wrażliwy. Wszystko jeden do jeden, tak jak ma być.

Jak mīt albo baśń?

Tak, a potem pojawiła się historia o zaginięciu skrzypiec Gilasa. Mówił, że grał kiedyś, gdzieś na kościelnym chórze i nagle skrzypce mu spadły i roztrzaskały się w drzazgi, a on wypatrzył w nich złotą blaszkę w środku, na której było napisane „Stradivarius”. No bujacz okropny. Ale ja przede wszystkim pytałem o sukę.

No właśnie: skąd się wziął pomysł, żeby szukać suki biłgorajskiej, która wtedy po prostu nie istniała jako „żywy” instrument?

Od Włodzimierza Kamińskiego. W muzeum w Poznaniu była kopia suki, zrobiona według tej z obrazu Gersona. Taki teraz bardzo eksploatowany wzór.

Wtedy pojawił się na znaczku pocztowym. Drugą sukę, właśnie zrobioną przez Gilasa, widzieliśmy w muzeum w Szydłowcu. To była chyba jakaś przerobiona altówka z bardzo szerokim, płaskim gryfem. Wiedziałem, że zrobił ją Gilas, i jego o nią zapytałem. A on powiedział: „Tak, tak, ale to już takiej sukki nikt nie będzie umiał zrobić. Bo tak: ja bym musiał zakopać stary dąb w bagnie”. I znowu zaczyna opowieść, bagno się pojawia – „i dopiero na trzecią generację mogą to wyciągnąć”. No, ale kto ma wiedzieć teraz, że trzy generacje temu ktoś tam gdzieś coś zakopał?

Cudownie mityczne myślenie. Trochę trudne, jeśli się wymaga, żeby inni je respektowali, ale piękne.

I snuł takie opowieści o suce, jak się na tym instrumencie grało, że na kolanie się trzymało i że on wył jak suka. Do tego tęskne pieśni miał śpiewać i nie wolno było grać szybko. Takie cuda. Co więcej, Gilas opowiedział mi wtedy – nie wiem, czy to prawda – że Kamiński w Poznaniu już wcześniej wymyślił, że sam pojedzie do Gilasa: „Był tu też taki z Poznania i tą babę przywiózł. Nie wiem, jak się nazywała? Chyba Wiłkomirska? I telewizja też była. No i mówi: »Panie Gilas, graj pan!«. No to ja mówię: »Niech wpierw gra kobieta«. No więc ona tam zagrała te swoje, a potem jak ja zagrałem, to dopiero! No i o tę sukę też tak wypytywali, to im wszystko powiedziałem”. (śmiech) To był rok 1978.

Nie miałeś wtedy pokusy, żeby poszukać tego instrumentu w drewnie? Żeby go spróbować odtworzyć? Zostawiłeś to innym.

Wiele lat później opowiedziałem o suce Marii Pomianowskiej. Był taki zespół Raga Sangit...

Maria Pomianowska, Jerzy Pomianowski i Marek Sawicki, ale okazjonalnie też znany skądinąd Marek Styczyński. Grali muzykę Indii.

Spotykaliśmy się na wyjazdach koncertowych. Maria grała w tym zespole na smyczkowym instrumencie sarangi. W grze na nim używa się niespotykanej w klasycznej muzyce europejskiej tak zwanej techniki paznokciowej. Polega ona na tym, że struna nie jest przyciskana opuszką palca do podstrunnicy, tak jak w skrzypcach czy wiolonczeli, tylko jest skracana w powietrzu poprzez dotknięcie jej paznokciem. Kiedyś spytałem Marię, czy wie, że na terenie Polski występował instrument, na którym grało się techniką paznokciową. Opowiedziałem jej o spotkaniu z Gilasem. Zapewne wtedy dokładniej je pamiętałem niż dziś. Pokazałem też rycinę Gersona i książkę Stanisława Ołędzkiego *Polskie instrumenty ludowe* z 1978 roku, ze zdjęciami zrekonstruowanej w Poznaniu sukki biłgorajskiej.

Słuchałeś Marii. Co sądzisz o jej muzykowaniu?

Gra bardzo pięknie. Szczególnie dobre są solowe wykonania. Brzmienie sukki w połączeniu ze śpiewem jest rewelacyjne.



Czy jest takie, jak sobie wyobrażałeś?

Zaskoczyła mnie. Przeniesienie techniki gry z indyjskiej muzyki klasycznej do polskiej muzyki ludowej prowadzi wykonawcę do ściśle określonego świata dźwięków. Czy wiesz, że na staropolskim drzeworycie z 1693 roku w książce Kazimierza Haura *Skład albo skarbiec...* można zobaczyć grajka, który ma sukę zaczepioną o pasek i gra, stojąc, a instrument jest wielkości skrzypiec? Pozwala to uruchamiać bardzo szybkie tempa. Z analogiczną sytuacją spotykamy się do dzisiaj w Bułgarii. Tam w żywej tradycji zachował się smyczkowy instrument wymagający techniki paznokciowej. Bułgarzy nazywają go „gadulka”. Grają do tańca, wirtuozowsko.

Czyli taka powinna być technika gry i takie brzmienie sukki?

To nie jest sprawa powinności, ale jeszcze innych możliwości.

Opowiedz, dlaczego postanowiłeś podróżować po kraju, po wioskach... Czy było to inspirowane tym, że zobaczyłeś instrument i pojechałeś za nim gdzieś tam w Polskę? A może wynikało z potrzeby spotykania ludzi, poszukiwania muzyki?

Polska wtedy była duża! Nie mieliśmy samochodu. W Bieszczady jechało się z Poznania dwa dni i nie można było tego przyspieszyć. I też była to Polska egzotyczna w najlepszym rozumieniu tego słowa – wabiła pięknem.



Mieliśmy z Hanką taki pomysł, żeby przejechać od Trakiszek i Puńska na północy, wzdłuż granicy wschodniej w Bieszczady. No i taki przejazd zrealizowaliśmy. Jeździliśmy pociągami i autobusami, spaliśmy pod namiotem rozstawianym gdziekolwiek. W dzień udawaliśmy się na wyprawy po okolicy. W Trakiszkach jest ostatnia przed granicą, w tamtych latach granicą z ZSRR, stacja kolejowa. Z Puńska już po dwóch dniach milicja wygoniła nas kolumną „za pół godziny was tu nie ma...”. Potem Puszcza Knyszyńska, Sokółka, Tatarzy oczywiście – Kruszyniany, Bohoniki, spanie u stolarza, który naprawiał meczet. Mówił: „Panie kochany, jakbyś pan tutaj przyjechał, jak oni te czapki daszkami do tyłu założą, bo ja to widziałem. I jak oni tam zaczynają, wie pan, śpiewać, to trzeba być takim człowiekiem jak ja, żeby się nie śmiać”.

Coś takiego!

No tak. A mieszkał z żoną tuż przy meczecie i dalej mówił: „Co, pod namiot? Ale to chyba miłość nie pomoże nawet, bo to wrzesień, żeby w taki czas spać w namiocie. Chodź pan, my z żoną gdzieś będziemy spać, a wy w naszym łóżku pośpijcie. I tak sobie myślę, żona na ajerze chleba napiekła, na ajerze i na liściach chrzanu, żeby był i jeden, i drugi”. Pomyślałem: co to ajer? A to tatarak, tatarskie ziele. „A jak my parszuka kłuli, to jeszcze zostało mięso

w beczce”. Beczka z ziemi wyjęta, mięso tak solone, że w ogóle jak mięso nie wyglądało. Rosół z tego wyszedł strasznie słony. No i był jeszcze kierac na podwórzu. Budzisz się, a tu koń w kieracie chodzi. I znowu rozmowa: „Panie, to u was były dwie wojny, tak?”. Przytaknąłem. „U nas były trzy. No bo druga była, jak Niemcy szli na Ruska, a trzecia, jak oni potem wracali. To dopiero była wojna, panie”. A żona dopowiedziała: „No, jak Napoleon tu szedł, to jego armia tam stanęła, gdzie jest ten cmentarz muzułmański”. Przy meczecie mieszkała też bardzo stara kobieta, taka babcinka, która nie pozwoliła do domu prądu doprowadzić. Zresztą sporo ludzi mieszkających bez elektryczności spotykaliśmy wtedy na wschodzie Polski. I ta babcinka nawet zamka nie miała w drzwiach do chaty, tylko je na skobelek zamykała. „Panie, co to zamek robić? Jak na skobelek zamknięte, to ludzie wiedzą, że nikogo tam nie ma”.

To piękne.

Poznaliśmy ten namiętny świat chachłacki. Pamiętam, jak w Kruszynianach batuszkę chowali. Uczestniczyliśmy w pięknej liturgii. Jakbym znalazł się w innym świecie. Zapominasz, że to pogrzeb. Nie jest żałośnie, jest uroczyste. Terenów wschodniej Polski nie opuściliśmy. Jeździliśmy też na Kurpie. W Dębniakach koło Nowogrodu mieszkał Bolesław Olbryś, który robił ligawki. Kiedyś pojechałem do niego wiosną. Krążyłem po okolicy, nieraz duktem leśnym szerokim jak gościniec. A kiedy wreszcie z ligawką wracałem od Olbrysia, trąbiłem po lesie. Zaszedłem do Nowogrodu i wszyscy napotkani ludzie też chcieli na niej zagrać. Miałem nagle pełno kumpli. To był dla mnie znak, że głos ligawki łączy i zbliża. Po wielu latach przejeżdżaliśmy przez Dębniaki. Był środek lata, babcia otwiera drzwi i mówi: „Chłop już nie otwiera oczu i leży nieprzytomny od wielu dni. Sam pan zobacz, taka mądra głowa i do piachu wsadzić?”. Pożegnałem się w myślach z Olbrysiem, który jeszcze przed drugą wojną jeździł do Warszawy z kurpiowskimi muzykantami. Był wtedy najmłodszy w grupie. Tak mi opowiadał. A dla mnie to wszystko było jak kolejne dotknięcie dawnego czasu. Tego samego lata, pomieszkując u naszego przyjaciela w uroczej wioseczce Siwiki, pojechaliśmy do Kadzidła, dumnej miejscowości, i tam poznaliśmy panią Apolonię Nowak, która potem z Jackiem Urbaniakiem nagrywała...

I z zespołem Swoją Drogą.

Tak. Mówiła: „Panie, dali mi imię Apolonia, że to niby Polska się zaczyna. I to już na całe życie taki wstyd”. (śmiech)

Niezwykła, uroczą pani.

Oj tak. I zdolna! Siedzieliśmy w jej domu, a ona wycinała cuda z papieru i śpiewała, genialnie zresztą.